



Horyzonty Polityki  
2(3)/2011

**BOGDAN SZLACHTA**

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie  
Katedra Filozofii Polityki

## **Nowe problemy z wielokulturowością<sup>1</sup>**

### *Streszczenie*

Artykuł dotyczy zagadnień związanych z cieszącą się obecnie szerokim uznaniem koncepcją polityki wielokulturowej, przede wszystkim w wymiarze doktrynalno-prawnym. Należy podjąć namysł nad zasadniczą zmianą w sposobie myślenia: otóż następuje przeniesienie dyskursu praw człowieka na poziom zbiorowości ludzkich różnicowanych wedle kryterium np. gender (płci społecznej). W tej sytuacji można dostrzec znaczny zasób niejasności czy paradoksów, przy czym wypada jasno podkreślić dwa aspekty całego „projektu”: po pierwsze, problem osłabienia związku pomiędzy obywatelskością (w państwie narodowym) a tożsamością kulturową; po drugie, zagrożenie płynące z „trybalizacji” systemu prawnego.

### **SŁOWA KLUCZOWE**

wielokulturowość, prawa człowieka, jednostka, obywatelskość, stosunki polsko-litewskie

---

<sup>1</sup> Referat wygłoszony w Uniwersytecie Witolda Wielkiego w Kownie 6 października 2011 r.

## NEW PROBLEMS ABOUT MULTICULTURALISM

### *Summary*

The article concerns the issues related to the now renowned concept of multicultural policy, especially with regard to its doctrinal and legal background. A gross change in thinking must be taken into consideration: the discourse on human rights has gradually been transferred to the level of communities of people differing from each other on the criterion, e.g., of gender. In this situation we can see a number of ambiguities or paradoxes while there are two aspects of the whole „project” that must be underlined: first, the problem of weakening the connection between citizenship (in a nation state) and cultural identity; second, the threat of „tribalization” of the law system.

### **KEYWORDS**

multiculturalism, human rights, individual, citizenship,  
Polish-Lithuanian relations

Pokoleniom obecnym przyszło żyć w bardzo ciekawych czasach. Nie dość, że doświadczyły one kresu totalitarnego reżimu sowieckiego i były świadkami odzyskiwania niepodległości przez wiele uprzednio zniewolonych narodów, to jeszcze bardziej lub mniej świadomie śledzą one zadziwiające przemiany w pewnej dziedzinie, którą ośmielam się zwać współczesną filozofią polityki. Nie idzie więc o przemiany śledzone przez socjologów czy analityków bieżącej polityki, nie idzie o zmiany wprowadzane przez polityków zajmujących miejsca w rozmaitych ciałach przedstawicielskich, które stanowią normy prawne. Idzie o coś znacznie bardziej fundamentalnego, idzie bowiem o utwierdzenie się pewnego sposobu myślenia, z którym mierzymy się my, ale z którym mierzyć się będą znacznie poważniej kolejne pokolenia. Idzie o przeświadczenie o istnieniu grup mających własne tożsamości, które winny być nie tylko chronione politycznie w tak zwanych liberalnych demokracjach, a taki walor mają mieć i Litwa, i Polska, pozostając w strukturach unijnych, nabudowywanych na przeświadczeniu o istnieniu dwóch fundamentalnych zasad: demokracji i praw człowieka, ale które nadto winny zostać w jakiś sposób zagwarantowane przez rozstrzygnięcia prawne. Więcej nawet, z tymi grupami o własnych tożsamościach łączy się zamysł tylko zadeklarowania

albo ustanowienia właściwych im uprawnień, z możliwą dyskusją dotyczącą tego, czy uprawnienia te należy traktować jako ich, jako „im immanentne” z racji „podmiotowości” właściwej tym grupom (podobnie jak łączy się z „podmiotowością” jednostki lub osoby ludzkiej pewną porcję „praw człowieka”, tyle że w tym przypadku za punkt oparcia uznaje się „godność indywidualną”, trudną do stwierdzenia czy ugruntowania w przypadku grup), czy raczej jako „nadawane” przez jakoś legitymizowane organy prawodawcze.

Są to zagadnienia niezwykle interesujące, wiążą się one bowiem z rozstrzygnięciami dotyczącymi „przedmiotów”, którym jesteśmy dziś w stanie przypisywać uprawnienia. Dotąd zwykło się mówić, że „przedmiotami” tymi są tylko jednostki, że to im należy przypisywać jakieś wolności czy uprawnienia, że to one są jedynymi „podmiotami prawa”. Tak mówiono „dotąd”, gdy trwały reżimy totalitarne, których zwolennicy i w nich panujący ewentualnie mieli prawo za narzędzie kształtowania jednostek i konieczna była ochrona tych jednostek z ich elementarnymi potrzebami przed opresją ze strony tych reżimów. Mawiano więc (i wciąż wielu tak mawia), że główny trud teoretyków polega na dostarczaniu uzasadnienia dla praw czy wolności jednostek jako praw czy wolności pierwszych wobec wszelkich, potencjalnie niebezpiecznych dla nich, rozstrzygnięć prawodawców. Trud ten miał owocować koncepcjami ugruntowującymi jako nienaruszalne i pierwsze wobec wszelkich norm prawnych praw czy wolności jednostek, a stanowione prawo miało jedynie dostarczać jurydycznych gwarancji dla już istniejących praw czy wolności jednostek. Ten, dominujący „dotąd”, sposób myślenia, kojarzony zwykle z tak zwaną tradycją liberalną, najczęściej w tej jej wersji, która została ustalona już w XVII wieku przez Johna Locke’a, miał wszelkie grupy za zbiory jednostek, pierwszych wobec wszelkich ich związków, świadomie zwykle decydujących i o ustanowieniu grup, i o przystąpieniu do nich. Nie grupy jednak, lecz właśnie jednostki były podmiotami praw czy wolności, i z nimi tylko, z jednostkami, skojarzono projekt zwany „konceptą wolności negatywnej” (Isaiah Berlin) jako obszaru nienaruszalnego dla dowolnego prawodawcy. Szło w tym projekcie nie tyle o wskazanie, kto ustala dla jednostek treść prawa lub kto nimi rządzi, ile o ustalenie, w jakim zakresie normy mogą być stanowione lub w jakim zakresie jednostki podlegają rządzeniu albo

dokładniej: o wskazanie granic tych aktywności, ustalenie obszaru, w którym aktywności te nie są dopuszczalne.

„Projekt dominujący dotąd”, sformułowany dawno i pomyślany jako ograniczający arbitralność króla prawodawcy, został następnie wykorzystany w ustrojach republikańskich; także w nich zwracał się on przeciwko arbitralności nowych prawodawców, czerpiących legitymację nie „z góry”, od Boga lub z tytułu dziedzicznego, lecz „z dołu”, od tych, dla których nowy prawodawca stanowił normy. Także ten nowy, „republikański prawodawca”, miał ograniczać swą aktywność, nie wkraczać do dziedziny negatywnie ujmowanej wolności chronionej uprawnieniami dla niego nienaruszalnymi, a wymagającymi jedynie gwarancji ze strony norm prawnych. Projekt ten jednak był atakowany, jako że zakładał, iż prawodawca, król i jakieś ciało przedstawicielskie zdolni są rozeznąć treść praw jednostek i dziedzinę ich wolności, a w dalszej kolejności tak stanowić normy prawne, by nie gwarantowały one tej sfery, która została poznana i uznana przez prawodawcę. Krytycy kierowali poznanie owego prawodawcy ku woli Bożej albo ku zwyczajowi, ku ahistorycznej lub rozwijającej się w dziejach rozumności albo ku doświadczeniu historycznemu lub rozeznawaniu aktualnych potrzeb czy preferencji jednostek zdolnych orzekać o tym, co jest dla nich użyteczne. Krytycy ci jednak nie byli w stanie pokonać procesu utwierdzania się „projektu dominującego dotąd”, nie byli w stanie przełamać prostego wskazania, jakie pomysł ten z sobą niósł. Gdy nadto projekt ten powiązany został z tak zwanym projektem demokratycznym, potencjalnie znoszącym to, co jednostkowe, na rzecz tego, w czym jako zbiorowym uczestniczy jednostka, doszło do utwierdzenia przekonania, że uwzględnianie w demokracji nienaruszalnych praw i wolności każdej z jednostek wystarcza do tego, by zyskały one ochronę przed arbitralnością większości już to działającej bezpośrednio, już to za pośrednictwem swych przedstawicieli.

Problem jednak w tym, że każda empirycznie uchwytna jednostka jest zakorzeniona w jakiś sposób w zbiorowościach wobec niej uprzednich, w których przychodzi na świat albo w których tkwi z racji swej narodowości, przynależności klasowej lub płci, a być może także tożsamości kulturowo-etnicznej. Przecież narodowość jest swoistym kontekstem, w którym każda jednostka jest kształcona, z którego języka czy kultury czerpie, ucząc się i wzorców

zachowań, i sprzeciwu wobec nich. Podobnie klasa, kategoria znana na naszych terenach aż nadto dobrze, która miała kształtować nasze sposoby myślenia, wypierając nawet kontekst narodowy, a zwłaszcza uwarunkowania rodzinne, religijne czy kulturowe, nie wspominając o naszej indywidualności podlegającej osobliwemu zatraceniu. Płeć zastąpiła ostatnio narodowość i klasę, wyparła te rodzaje zbiorowości, znów przełamując uwarunkowania narodowe, znosząc naszą indywidualność, a nawet w niektórych ujęciach wpływając w decydujący sposób na naszą indywidualną tożsamość. Znowu mamy więc do czynienia z osobliwym, „totalizującym” lub „uwspólnotowiającym” nas ujęciem, które – na co warto zwrócić szczególną uwagę – gubi naszą indywidualność, jak gubi naszą określoność narodową lub klasową. Te ciekawe zjawiska, opisywane w związku z projektami zwanymi nacjonalistycznymi, proletariacko-burżuazyjnymi czy „genderowymi”, uderzały lub uderzają w „projekt dominujący dotąd”, bo niekiedy w imię interesu „narodowego”, „klasowego” albo i „płciowego” podkopywały tak koncept „negatywnej wolności” i chroniących ją praw wolności, jak i koncept sfery prywatnej, w której jednostka miała się chronić przed opresją. Paradoxy, których pełna jest historia zachodniej myśli politycznej ostatnich trzech stuleci, wiązały się z próbami łączenia projektu dominującego z wobec niego krytycznymi; mieliśmy więc i próbę połączenia wizji indywidualistyczno-liberalnej z nacjonalizmem, i próbę filiacji klasowo-indywidualistycznej, i próbę wskazania, jak w imię ochrony praw kobiety należy przebudowywać system prawny.

Każdy z tych paradoksów wart jest odrębnej analizy, ale nie o to teraz idzie. Idzie raczej i tylko o wskazanie, iż „projekt dominujący dotąd” był atakowany z różnych stron i że wielokulturowość jako pomysł teoretyczny (a nie nazwa dla pewnego zjawiska opisywanego przez socjologów) jest tylko kolejną próbą przekroczenia ograniczeń tego projektu. Można na pierwszy rzut oka skojarzyć pomysł wielokulturowy z analogicznym pomysłem o znacznie wcześniejszym rodowodzie, mianowicie z pomysłem dotyczącym narodów czy narodowości jako punktów odniesienia dla każdej jednostki. Jest to jednak skojarzenie mylne. Tamten, znacznie wcześniejszy pomysł, stał się istotną podstawą dla wybijania się na niepodległość narodów pozostających uprzednio w obcych ciałach politycznych,

w tym podstawą dla dążeń niepodległościowych Polaków czy Litwinów. Ileż atramentu wykorzystano dla wykazania, że Polacy różnią się od Rosjan czy Prusaków (Niemców), ileż dla wykazania, że Litwini różnią się od Rosjan i Polaków, lecz atrament nie został zmarnowany, bo i Polacy, i Litwini, choć wcześniej współtworzyli jeden organizm polityczny, wybijali się na niepodległość w XX wieku głównie przeciwko innym, dążąc do ustanowienia tak zwanych państw narodowych. Państwa te trwają do dziś, bronią się przed tendencjami globalizującymi, europeizującymi, amerykańizującymi itp., a ich obywatele wciąż odwołują do swej inności czy odrębności, wciąż bronią się przed zalewem nie tylko obcych im wzorców kulturowych, ale i przed działaniami służb innych państw narodowych. Wciąż zatem trwa napięcie między państwami narodowymi mającymi własne, identyfikowane jako odrębne interesy. To napięcie jest też widoczne w dzisiejszych stosunkach polsko-litewskich, w wielkiej mierze postrzeganych wciąż zgodnie z dawnym już paradygmatem, wymagającym prowadzenia wobec mniejszości pozostających na terytorium pewnego państwa narodowego działań na rzecz ich asymilacji, na rzecz utwierdzenia jedności politycznej z jednej strony, jednak jedności kulturowej ze strony drugiej.

W tym miejscu, przy stwierdzeniu tej podwójności, którą na użytek tego tekstu nazwę „obywatelsko-kulturową”, pojawia się projekt nawiązujący do dawnych ujęć. Nie służy on bynajmniej uzasadnieniu dążenia do niepodległości, do ustanowienia nowego lub nowych państw narodowych, lecz ma walor inny, który można by nazwać „jurydycznym” albo „obywatelsko-jurydycznym”. Nie mam zamiaru bronić tego projektu; poprzestaję na tezie, że jest on dzisiaj obecny i że zyskuje na znaczeniu. Może on być nawet obrzydliwy dla wielu odbiorców, którzy – jak liczni Brytyjczycy – z zażenowaniem wsłuchują się w pouczenia Sir Bhikhu Parekha, iż „brytyjskości” nie można już łączyć z przywiązaniem do jakiejś tradycji narodowej czy nawet narodowej kultury, lecz należy kojarzyć ją z poszanowaniem dla inności, dla odmienności każdego, kto żyje na terytorium Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej; iż – konsekwentnie – wreszcie należy zerwać z jakąś zbiorowo-narodową identyfikacją na rzecz identyfikacji wyłącznie zbiorowo-politycznej, lecz że zerwanie to ma dotyczyć tych, którzy stanowią większość: to oni winni porzucić swe przywiązanie

do tego, co dotąd ich spajało lub przynajmniej je osłabić, bo jest to warunek dostrzeżenia w innym inności i wzbudzenia w sobie szacunku dla niej.

Nie idzie, jak już stwierdziłem, o uczucia Państwa czy mówiącego te słowa wobec tak zarysowanego zamysłu. Idzie o przemyślenie tego zamysłu jako istotnej, a stosunkowo nowej propozycji; idzie wreszcie o wskazanie nowych problemów wiążących się z nim możliwie bez uprzedzeń wstępnych. Rzec dotyczy wielokulturowości jako teoretycznego uzasadnienia dla pozostawiania poszczególnych grup o odmiennej tożsamości kulturowej w jakiejś całości politycznej, dotyczy więc tego, co wielu (jak Will Kymlicka czy Charles Taylor) wiąże z tak zwaną polityką różnicy, a publiczność z tak zwaną tolerancją wobec inności drugich uzasadnianej jakimiś odmiennostkami kulturowymi, choćby nawet była to inność nie na tle „kultury narodowej”, lecz na tle „preferencji seksualnych”. Ograniczę się do wskazania dwóch tylko, jednak moim zdaniem kluczowych aspektów czy problemów związanych z wielokulturowością jako – powtórzę – nowym pomysłem w szeregu pomysłów już znanych, niekiedy szlachetnych, kiedy indziej niebezpiecznych, a dotyczących usytuowania empirycznie danej jednostki w jakichś zbiorowościach ją określających.

Pierwszy aspekt czy problem już został zapowiedziany: idzie o obywatelskość jako element wypierający inne identyfikacje; idzie o obywatelskość jako moment relacjonujący jednostkę wobec państwa, wobec pewnej jedności politycznej, która przekracza wszelkie jedności pośrednie: płciową, klasową czy narodową. Istotnie, w projekcie wielokulturowym aspekt obywatelstwa odgrywa rolę decydującą, tak że zdawać się może, iż znosi on wszelkie identyfikacje grupowe poza identyfikacją „czysto polityczną”, poza jedyną zatem relacją, tą mianowicie, która łączy każdą jednostkę z państwem. Problem jednak w tym, że jest to nader abstrakcyjny koncept, zakładający, że państwo jest swoistym bytem zdepersonalizowanym, że nie może ono być kojarzone z jakąś społecznością, której członkowie legitymizują samych siebie lub swych przedstawicieli. Jeśli zstąpimy na poziom refleksji empirycznej, widzimy, że mamy do czynienia ze zbiorowościami, w których występują identyfikacje uprzednie wobec państwa, że Polak czy Litwin są w jakiejś mierze określani przez swą polskość czy litewskość, podejmując wybory

o charakterze politycznym. To swoisty paradoks demokracji, niezbyt często jednak analizowany, a ważny, bo problematyzujący refleksję o obywatelskości osadzoną w projekcie wielokulturowym. Wymaganie, by całość polityczna wyzwolona była z tego „narodowego ukontekstowania”, łączy się przecież z postulatem zatracenia tego, co jest bliskie poszczególnym jednostkom, dzięki czemu uzyskały już i posiadają swe zakorzenienie. Paradoksu tego dotknęliśmy już, przywołując tezę Parekha, dotykamy go jednak również w dzisiejszych sporach dotyczących podporządkowania każdego obywatela państwu, które jest postrzegane niby abstrakt uniezależniony od napięć między różnymi częściami populacji w nim pozostającej lub jemu podporządkowanej, bo go przecież nie tworzącej.

Można pominąć w tym miejscu wielce interesujące zagadnienie związane z napięciem między trzema głównymi pomysłami dziś analizowanymi w związku z obywatelskością: liberalnym (jakiś moment „substancjalnej rozumności”, który umożliwia ustanawianie norm powszechnie wiążących wszystkich i jest dostępny mimo zakorzenienia w jakiejś grupie, występującej obok innych w danym państwie), ponowoczesnym (z tezą, iż każdy jest różny od innego, a powszechne i wzajemne uznanie wszelkich odmienności umożliwia w pełni pokojowe współzycie między wzajem tolerującymi się jednostkami) i agonistycznym (z ideą nieusuwalnego napięcia między zróżnicowanymi jednostkami). Można to uczynić, bo bardziej nas interesuje problem wprowadzania do każdej z trzech propozycji zidentyfikowanych przez uwarunkowania kulturowe „podmiotów zbiorowych”. To te podmioty, a nie jednostki mają współtworzyć państwo, a właściwie w nim pozostawać, być mu podporządkowane, w grze o treść tego państwa, przekraczając swe partykularyzmy, gubiąc istotne dla siebie treści kultury. Czy jednak państwo nie narodowe już, lecz „obywatelskie”, usuwające w cień te „momenty kulturowe”, które różnicują poszczególne grupy w nim pozostające, może pojawić się, czy może ono trwać? To pytanie kluczowe, które wciąż należy stawiać, mając świadomość, że to właśnie państwo gubi swą abstrakcyjność, gdy dotykamy problemu osób je reprezentujących, gdy więc – jak choćby u Hobbesa i nadal – przechodzimy od problemu suwerenności do problemu suwerena, od niepodległości państwa do kwestii reprezentantów jego lub grupy w nim występującej, być może zróżnicowanej kulturowo-etnicznie.



Jest jednak drugi jeszcze aspekt, który warto unaocznic. Powiadają niektórzy badacze, że Europa jest wciąż w trzeciej fazie ewolucji, która prowadziła po upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego od trybalizacji prawa (na jednym terytorium, np. Galii, mieliśmy z jednej strony ziemie, gdzie wciąż honorowano prawo rzymskie, z drugiej zaś takie, gdzie już obowiązywało prawo germańskie), przez personalizację prawa (każda jednostka mogła być poddana odmiennym rygorom prawnym) ku terytorializacji prawa, przywracającej w istocie stan z czasów cesarów rezydujących w Rzymie. Inni badacze zwracają jednak uwagę na to, że wraz z projektem wielokulturowym, podobnie jak w V wieku po Chrystusie, przygotowujemy się znów do fazy „trybalizacji prawa”, fazy, w której na jednym terytorium, choćby dawnego państwa narodowego, występować będzie wiele systemów prawnych, obowiązujących różne grupy, a odpowiadających właściwym im wzorcom kulturowo-obyczajowym czy prawnym. To niezwykle zagadnienie: są tacy badacze, którzy już zwracają uwagę na wydawanie przez dzisiejsze sądy odmiennych orzeczeń w odniesieniu do analogicznych czynów dla sprawców mających odmienne kulturowo zakorzenienie: mimo że wciąż istnieje jeden system prawny na danym terytorium, za podobny czyn jeden sprawca jest skazywany, gdy inny uniewinniany. To sygnał, którego niepodobna bagatelizować, bo jest on znakiem rezygnacji z ważnej dla wielu Europejczyków zasady równości wobec prawa. Jeśli zwolennicy wielokulturowości poważnie traktują postulat dostarczania przez abstrakcyjne państwo gwarancji dla tożsamości poszczególnych grup określonych kulturowo, sygnał ten będzie zwielokrotniany, aż być może dojdzie do przyjęcia w pewnych dziedzinach prawa odmiennych uregulowań na tych samych terytoriach.

Przedstawiłem dwa tylko aspekty, lecz już ich przemyślenie pozwala wnioskować, że relacja między nimi jest kluczowym zagadnieniem współczesnej filozofii polityki także, o ile jest uprawiana, w naszych krajach. Jeśli państwo ma być obywatelskie i ma przekraczać to, co partykularne, to winno być oparte na zasadzie równości wobec prawa, winno w jednakowej mierze chronić każdą jednostkę, a w projekcie wielokulturowym każdą zbiorowość określoną kulturowo jako osobliwy, nowy podmiot jednakowych „praw zbiorowych”. Zmiana wobec liberalnego „projektu dominującego dotąd” jest w tym zakresie znacząca: pojawiają się w miejsce raczej niż obok jednostek nowe

„podmioty prawa”, które w pewnym zakresie, z pewnością wymagającym precyzyjnego ustalenia, respektują takie same rozwiązania, poddane są takim samym normom ustanawianym z pominięciem wszelkich różnic między grupami, w imię – o paradoksie! – abstrakcyjnego państwa obywateli. Jeśli jednak, baczymy na konsekwencje drugiego aspektu, uwzględniamy zróżnicowanie pomiędzy poszczególnymi grupami w rozwiązaniach prawnych, precyzyjnie ustalona granica między tą dziedziną prawa, która jest wspólna dla wszystkich obywateli, i tą dziedziną, w której ich zróżnicowanie na tle kulturowym jest respektowane, może ulegać dowolnemu przesunięciu w zależności od mocy poszczególnych graczy korzystających z mechanizmu demokratycznego. Konsekwencje zmiany dotyczącej pierwszego aspektu dają o sobie znać szczególnie w związku z drugim aspektem. Okazuje się, że gdybyśmy nawet tylko w precyzyjnie ustalonej sferze publicznej dbali o respektowanie tych samych norm w imię państwa obywatelskiego, a nie narodowego już, to winni byśmy takie same rozwiązania stosować – dajmy na to – do obywateli Republiki Litewskiej będących Litwinami i do obywateli tejże Republiki będących Rosjanami (np. więc dopuszczać kilka języków jako urzędowych czy zwielokrotniać nazwy pojawiające się w tak zwanej przestrzeni publicznej, choćby ulic czy placów, ale także przecież pisownię nazwisk). Gdy jednak przechodzimy do drugiego aspektu, rozwiązanie przed chwilą przedstawione staje się problematyczne, bo może być przedstawiane jako takie, które niebezpiecznie zbliża nas do fazy trybalizacji prawa, dotyczy bowiem pewnych części terytorium państwowego poddanych innym rygorom niż obowiązujące w innych jego częściach.

Nie jestem w stanie orzec, czy kiedykolwiek uda się usunąć napięcia wpisane w oba przedstawione aspekty. Mam jednak nieodparte wrażenie, że są one przedmiotem naszej dzisiejszej troski związanej z obecnością mniejszości polskiej na Litwie i mniejszości litewskiej w Polsce.